

IWAN FRANKO



ZACHAR
BERKUT

Iwan Franko

Zachar Berkut

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2022

Iwan Franko
„Zachar Berkut”

Copyright © by Iwan Franko, 2022

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

**Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.**

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Tetiana Boiko**

Przekład: **Stefan Rudniański (Salomon Rubinroth)**

Redakcja literacka: **Przemysław Lis-Markiewicz**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-909-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

ZACHAR BERKUT

IWAN FRANKO



Słowo wstępne od wydawcy

Czytelnik zgodzi się zapewne ze mną, że społeczeństwo polskie winno znać historię swoich sąsiadów, zwłaszcza dzieje prawdziwe. Przyzwyczajona do polskości jakże patriotycznego Podkarpacia czy Lubelszczyzny większość Polaków nie wie, że tereny te, rzecz jasna w części, są ziemiami rdzennie ruskimi. Przymiotnik „ruski” odnosi się wszelako nie do Rosji, a do Rusi. Rusi Czerwonej, Kijowskiej, Karpackiej, Zakarpackiej, Halickiej, itp, czyli do terenów Ukrainy. Położony w granicach współczesnej Polski Chełm został założony przez wspomnianego w powieści księcia Danyłę Romanowycza, nazwa miasta pochodzi zaś od ukraińskiego słowa „chołm”, czyli wzgórza. Podobną historię mają Zamość (sprzed nadania mu praw miejskich), Jarosław, Sanok, Lesko, Krosno czy Hrubieszów. Wspomniane w powieści Przemyśl i Dukla to te właśnie, które obecnie znajdują się w województwie podkarpackim.

Ruś Halicka, kolebka ukraińskiej państwowości, miasto Halicz (sto kilometrów od Lwowa i również sto – od Tarnopola) są dla świadomych narodowo Ukraińców tak samo ważne, jak dla Polaków piastowska Wielkopolska z Gnieznem i Lednicą. Szczególnie powinni o tym pamiętać ci nasi współobywatele, którzy lubią pleść łzawe

i sentymentalne bajdy o polskim Lwowie i o tym, jak to kiedyś Wołyń był nasz.

Piękna, ze wzruszającym wątkiem miłosnym w tle, opowieść Iwana Franki o wolnych gromadach (wspólnotach) karpackich Rusinów, pragnących zachować niezależność od bojarów i kniaziów, to upoetyczniona apoteoza wolności człowieka, wolnego społeczeństwa obywatelskiego i samorządności. Domyślam się, że Iwan Franko napisał ową powieść dla Ukraińców „ku pokrzepieniu serc”. Bo przecież w 1882 roku, a wtedy pisarz tworzył swe dzieło, Ukraina nie była wolna, Ukraińcy zaś byli poddanymi cesarza austriackiego i cara rosyjskiego.

Sam Iwan Franko urodził się w Galicji, szkołę średnią skończył w Drohobyczu, edukację kontynuował na uniwersytecie we Lwowie. Był nie tylko pisarzem i poetą, ale również tłumaczem, dziennikarzem, publicystą, wydawcą, działaczem społecznym i politycznym. Tworzył, co rzadkie, we wszystkich trzech gatunkach literackich (proza, poezja, dramat). Władał czternastoma językami obcymi, tworzył również po polsku. Był wybitnym sławistą i literaturoznawcą, wykładał na uniwersytecie nie tylko na Ukrainie, ale również w Wiedniu. Na język ukraiński przekładał dzieła Mickiewicza, Szekspira, Byrona, Hugo, Alighieri, Goethe'go. Z kolei jego twórczość została przetłumaczona aż na siedemnaście języków obcych. Iwana Frankę nominowano do literackiej nagrody Nobla, ale śmierć

pisarza w 1916 roku przeszkodziła w sfinalizowaniu jej przyznania. Na jego cześć na Iwano-Frankiwszk przemianowano Stanisławów. Spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Wypowiadając tyle pochlebnych słów o pisarzu, nie chciałbym pominąć osoby tłumacza. Jest to postać nader intrygująca, zaś okoliczności przekładu owiane są tajemnicą. Powieść Franki w tłumaczeniu na polski Stefana Rudniańskiego została wydana w 1940 roku w Kijowie przez radzieckie Państwowe Wydawnictwo Mniejszości Narodowych USRR. Trudno współcześnie odgadnąć, dlaczego profesor Stefan Rudniański (urodzony jako Salomon Rubinroth), niepokorny lewicowiec, wykształcony w Lipsku filozof, psycholog i pedagog, autor „Technologii pracy umysłowej”, profesor filozofii i wykładowca akademicki postanowił przełożyć na język polski powieść historyczną Iwana Franki. Choć przyznać należy, że był profesorem lwowskim i znał dwanaście języków obcych. Może imponował mu Franko-poliglota, który znał ich czternaście. A może słusznie chciał pośmiertnie wynagrodzić France ostracyzm jego twórczości i działalności naukowej ze strony lwowskich Polaków. Stefan Rudniański, obok Juliana Tuwima, Jana Brzechwy czy Stanisława Lema, należał do tak zwanych zasymilizowanych Żydów, a w zasadzie nie chciał nim być. Porzucił w młodości szkołę rabiniczną w Brześciu (gdzie się urodził), za co został wyklęty przez gminę żydowską. Później już nigdy nie był religijny, fascynowały go

ruchy emancypacyjne i socjalistyczne. Tłumaczył na język polski dzieła Lenina, co świadczy raczej o szczerym idealizmie, nie zaś o tym, co mogą mu przypisać kierujący się stereotypami współcześni uprzedzeni. Został, razem z innymi lwowskimi profesorami, zamordowany po zajęciu Lwowa przez hitlerowców w 1941 roku. Stefan Rudniański (Salomon Rubinroth) był, bez wątpienia, postacią wielobarwną i szkoda, że tak mało o nim wiemy.

Przemysław Lis-Markiewicz

I

Smutno i nieprzytulnie teraz w naszej Tucholszczyźnie[1]. Choć Stryj[2] i Opór[3] jak zawsze oblewają jej zielone pobraża, pola jej jak zawsze pokrywają się z wiosną kwieciami, a w jej lazurowym, czystym powietrzu jak zawsze szybuje i kołuje orzeł-berkut jak i przed wiekami.

Jakże jednak zmieniło się wszystko inne! I lasy, i wsie, i ludzie! Dawniej gęste, nieprzebyte lasy zakrywały całą prawie przestrzeń, prócz wysokich połonin, schodziły w dolinę aż nad same rzeki, teraz, niby śnieg na słońcu, stopniały, zrzedły, zmały, poznikały, gdzieś indziej zostawiając po sobie leśne wyręby. Gdzie indziej znów ostały się z nich tylko pnie osmalone, a spomiędzy nich nieśmiało wyrasta czasem nędzny świerk lub jeszcze nędzniejszy jałowiec. Dawniej było tu cicho, nie słyszałeś nijakiego głosu, prócz owczarskiej trombity[4] na dalekiej połoninie lub ryku dzikiego tura czy jelenia w leśnych ostępach – teraz na połoninie nawołują się wolarze[5], a w jarach i kniejach stukają rębacze, tracze i gonciarze, podgryzając i podcinając bezustannie, niby niezmordowany czerw, piękno tucholskich gór, stuletnie jodły i smreki[6], albo spuszczaając je, pocięte na olbrzymie kłocę, potokami w dolinę do nowych tartaków parowych, albo też rżnąc je na miejscu na deski i gonty.

Ale najwięcej zmienili się ludzie. Mogło by się zdawać po powierzchownym przypatrzeniu się, że podniosła się „kultura” ich przysiółków, więcej chat po wsiach, lecz za to większe ubóstwo i większa nędza po chatach. Lud znędzniały, przybity, ponury, nieśmiały i niedostępny wobec obcych. Każdy dba tylko o siebie, nie rozumiejąc tego, że w ten sposób rozdrabniają się tylko siły jednostek, osłabia się gromada. Nie tak to kiedyś było! Choć mniej było ludzi, lecz za to – jaki lud! Jakie życie kipiało w tych górach, wśród tych nieprzebytych lasów, u stóp potężnego Zełemenia[7]. Zła dola znęcała się nad tym ludem przez długie wieki. Ciężkie ciosy podkopały jego dobrobyt, nędza złamała jego swobodny, zdrowy charakter i teraz tylko niejasne, dawne wspomnienia przypominają prawnukom szczęśliwsze życie przodków. I kiedy czasem stara babcia siedząc na zapiecku i przędąc grubą wełnę rozpowiadać pocZNIE drobnym wnukom o dawnych, dawnych czasach, o napadzie Mongołów - psiogłowców, o tucholskim watażce Berkucie – słuchają dzieci lęklawie, a w ich siwych oczętach błyszczą łzy. A kiedy się skończy ta dziwna opowieść, wówczas i starzy szepcą cicho – „ach, jakaż to piękna bajka!”.

– Tak, tak — powtarza babunia kiwając głową — dla nas to bajka, a kiedyś była to prawda.

– A nie wiedzieć, czy wrócą się kiedy takie czasy — napomyka niejeden ze starszych.

– Mówią starzy ludzie, że kiedyś jeszcze wrócą się, ale będzie to dopiero przed końcem świata.

Smutno i nieprzytulnie teraz w naszej Tucholszczyźnie. Bajką wydaje się powieść o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Wierzyć nie chcą ludzie dzisiejsi, którzy wyrosli w nędzy i ucisku, w tysiącletnich kajdanach i niewoli. Niech tam sobie nie wierzą! Myśl poety ulata w te dawne czasy, ożywia dawnych ludzi, a u kogo serce czyste i szczerze ludzkie uczucie, ten zobaczy w nich swoich braci, żywych ludzi, w życiu ich, choć tak niepodobnym do naszego, dojrzy niejedno, co może być pożądane i dla naszych, „kulturalnych” czasów.

* * *

Było to w 1241 roku. W tucholskich górach poczyniała się wiosna.

Pewnego cudownego dnia dźwięczały lesiste pagórki Zełemenia głosami myśliwskich rogów i okrzykami licznych strzelców. To nowy tucholski bojar, Tuhar Wilk, sprawiał wielkie łowy na grubego zwierza. Świątował narodziny swego nowego życia, bo książę Danyło darował mu niedawno rozległe połoniny w Tucholszczyźnie i jedno całe wzgórze Zełemenia. Zjawił się on niedawno dopiero w tych górach, zbudował sobie piękne dworzyszczce i teraz oto urządza pierwszą ucztę, zapoznaje się z okolicznymi bojarami. Po uczcie ruszyli na łowy w tucholskie bory.

Łowy na grubego zwierza – to nie zabawka, to walka ciężka, nieraz krwawa, nieraz na śmierć i życie. Tury, niedźwiedzie, dziki – to niebezpieczni przeciwnicy; rzadko

komu uda się powalić takiego zwierza strzałami z łuków. Nie łatwo sobie z nim poradzić nawet oszczepem, który rzucało się na ofiarę z pewnej odległości. Toteż ostatnią i rozstrzygającą zbroją była ciężka kopia, którą trzeba było ugodzić przeciwnika z bliska, własnoręcznie, z całą siłą i za jednym zamachem. Jeden chybiony cios i życiu myśliwego groziło wielkie niebezpieczeństwo, jeśli nie udało mu się w ostatniej chwili schować do bezpiecznej kryjówki i dobyć miecza lub ciężkiego topora na swoją obronę.

Nie było zatem dziwnym, że Tuhar Wilk wyprawiał się ze swoimi gośćmi na łowy jak na wojnę, z zapasem strzał i rohatyn[8], ze sługami i z zapasami żywności, a nawet z doświadczonym znachorem, który umiał zamawiać rany. Nie dziw też, że Tuhar i jego goście byli w pełnej rycerskiej zbroi, prócz pancerza, bo ten krępowałby ich w biegu przez skały i przez gęszcze leśne.

A dziwne tylko, że i Tuharowa córka, Mirosława, odważyła się, nie opuszczając ojca, razem z gośćmi wyruszyć na łowy. Tucholanie widząc ją, jak jechała między gośćmi na łowy dumnie i śmiało, niby wysmukła topola wśród przysadzistych dębów, z upodobaniem wodzili za nią oczyma, pogadując: — ot, dziewczyna! Nie żal by było, gdyby taka była mężczyzną. I pewnie piękniejszy by był z niej mężczyzna niż jej ojciec!

A była to na pewno niemała pochwała, bo Tuhar Wilk był mężczyzną jak dąb. Pleczysty, krępy, z grubo ciosanymi rysami twarzy i gęstym czarnym włosom, podobny był do jednego z okrutnych tucholskich niedźwiedzi, które jechał

zabijać. Ale bo i córka jego, Mirosława, była dziewczyną, jaką nie łatwo było znaleźć. Nie mówiąc już o jej urodzie i piękności oraz o jej dobrym sercu – pod tym względem dorównać by jej mogło wiele rówieśniczek, choć niewiele mogłoby ją przewyższyć. Nie miała jednak sobie równej w przyrodzonej swobodzie swego postępowania, w niezwykłej sile mięśni, w śmiałości i energii, właściwej tylko mężczyznom, co wyrosła w nieustannej walce z przeciwnościami. Z pierwszego wejrzenia widać było, że Mirosława wyrosła na swobodzie, że wychowano ją na mężczyznę, że w tym cudnie rozwiniętym dziewczęcym ciele, żyje silny duch obdarzony wielkimi zdolnościami. Była u ojca jedynaczką, a do tego jeszcze od razu po urodzeniu straciła matkę. Niania jej, stara chłopka, zaprawiała ją od maleńkości do wszelkich ręcznych robót, a gdy podrosła, wówczas ojciec, aby pocieszyć się w swej samotności, brał ją z sobą wszędzie i aby zadowolić jej ognistą naturę, uczył ją władać bronią rycerską, znosić wszelkie niewygody i śmiało patrzeć niebezpieczeństwu w oczy. A im większe trudności miała do pokonania, tym chętniej brała się do pracy, tym wydatniej przejawiała się siła jej ciała i jej energicznego charakteru. Ale mimo tego wszystkiego Mirosława nigdy nie przestawała być kobietą subtelną i dobrą, z gorącym uczuciem i skromnym, wstydliwym licem – a wszystko to łączyło się w niej z taką dziwną czarującą harmonią, że kto raz tylko ją widział, kto słyszał jej mowę, ten nie mógł zapomnieć do końca życia jej twarzy, jej ruchów, jej głosu i przypominały mu się one żywo

i wyraźnie w najpiękniejszych chwilach jego życia, tak jak wiosna przypomina nawet zgrzybiałemu starcowi jego młodzieńczą miłość.

Łowy trwały już trzeci dzień. Wiele jeleni-rogaczy i czarnogłowych turów legło od strzał i włóczni bojarskich. Nad szumiącym górskim potokiem, na zielonej śródleśnej polanie stały szałas myśliwych, gorzały raz po raz wielkie ogniska, gdzie na hakach wisiały kotły, obracały się rożny, gdzie gotowało się i piekło dla gości mięso ubitej dziczyzny. Dzisiejszy, ostatni dzień łowów miał być poświęcony najgłówniejszej, a zarazem najbardziej niebezpiecznej sprawie – łowom na niedźwiedzie.

Na stromym pagórku oddzielonym od innych strasznymi przepaściami, porośłym gęsto ogromnymi bukami i świerkami, pokrytym łomami i rumowiskami drzew, znajdowało się od dawna główne legowisko niedźwiedzi. Tutaj – jak twierdził tucholski przewodnik, młody góral Maksym Berkut – gnieździła się królowa niedźwiedzi. Stąd dzikie zwierzęta siały postrach na całą okolicę i na wszystkie połoniny. I choć nieraz udało się śmiałym owczarzom zabić jednego lub drugiego strzałami lub toporami, albo zwabić pod barć, gdzie łamała mu kark ciężka, spadająca na dół kłoda, to jednak liczba ich była zbyt wielka, aby miała być z tego jakakolwiek ulga dla okolicy. Toteż nie dziw, że kiedy nowoprzybyły bojar, Tuhar Wilk, obwieścił Tucholanom, że chciałby urządzić wielkie łowy na niedźwiedzia i prosił ich o przewodnika. Nie tylko dali mu pierwszego zucha na całej tucholskiej wyżynie, Maksyma Berkuta, syna starosty

tucholskiej gromady Zachara, ale przygotowali również z własnej woli cały oddział naganiaczy z łukami i włóczniami, ku pomocy zebranym bojarom. Cała ta gromada miała okrążyć niedźwiedzie legowisko i oczyścić je od razu od złośliwych zwierząt.

Od samego świtu panował w obozie łowieckim gorączkowy ruch i trwożne wyczekiwanie. Bojarskie sługi od północy uwijały się, przygotowując dla gości stawę na cały dzień, napełniając podróżne bukłaki musującym miodem i jabłecznikiem.

Tucholscy naganiacze gotowali się ostrząc noże i tasaki, wkładając na stopy mocne, żubrowe ciżmy i składając w niewielkie podróżne sakwy pieczone mięso, placki, ser i wszystko, co tylko mogło się przydać w całodziennej, trudnej przeprawie. Maksym Berkut, który dopiero teraz, w obliczu najważniejszego i najcięższego zadania, poczuł się samym sobą, prawdziwym naczelnikiem tej niewielkiej armii, wydawał rozkazy z pełną powagą dowódcy, zarządzając wszystkim, co należało do wyprawy, nie zapominając o niczym, z niczym się nie śpiesząc, ale też z niczym się nie opóźniając. Spełniał wszystko we właściwym czasie i miejscu, bez zamieszania i nieładu; był wszędzie, gdzie trzeba, wszędzie umiał zaprowadzić ład i porządek. Czy to między swoimi towarzyszami, Tucholanami, czy to między bojarami i ich sługami – wszędzie był jednakowo spokojny w ruchach i słowach, jak równy wśród równych. Towarzysze zachowywali się tak samo jak on wobec nich – swobodnie, bez przymusu, śmiali

się i żartowali z nim, a mimo to wypełniali jego rozkazy dokładnie i szybko, i tak wesoło i ochoczo, jakby i sami, bez rozkazu, byli zrobili w tej chwili to samo. Bojarska służba, choć nie tak równego usposobienia, daleko mniej swobodna w zachowaniu się i o wiele pochopniejsza do szyderczego wyśmiewania się z jednych, do niskiego kłaniania się innym, považała jednak Maksyma Berkuta za jego prostotę i roztropność i choć nie bez przycinków i żartów, robiła przecież to, co kazał. A i sami bojarowie, po większej części ludzie hardzi, bitni, co niechętnie widzieli „smerda”[\[9\]](#) w swoim gronie, i to jeszcze smerda, który uważał ich jakby za równych sobie, i oni teraz nie okazywali wyraźnie swojej niechęci i wypełniali zarządzenia młodego przewodnika, mogąc się przekonać na każdym kroku, że zarządzenia te były rozumne, zapobiegliwe. Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy towarzystwo łowieckie wyruszyło z obozu. Nad górami wisiała głęboka cisza, zmierzch nocny drzemał pod ciemnozielonymi koronami świerków, na gęstych pierzastych liściach paproci wisiały krople rosy; pełzające zielone łodygi wiły się pod nogami, plątały się między korzeniami olbrzymich, zwalonych pni, tworzyły nieprzebyte gąszcze z wiciami giętkiej, kolącej jeżyny i ze splotami dzikiego, pnącego się chmielu. Z przepaścistych, czarnych gardzieli wąwozów podnosiła się tumanami mgła – znak, że na dnie tych wąwozów płyną niewielkie, leśne potoki. Powietrze w lesie przesyccone było tą mgłą i zapachami żywicy. Zapierało oddech i zdawało się, jakby trzeba było szerszych piersi, by można nim było oddychać. Milcząc

przedzierała się drużyna łowiecka przez nieprzebyte bagna, przez wąwozy i rumowiska bez żadnej ścieżki, bez żadnych przewodnich znaków w mrocznej gęstwinie lasu. Na przodzie szedł Maksym Berkut, za nim zaś Tuhar Wilk i inni bojarowie. Obok Tuhara szła jego córka, Mirosława. Pochód zamykali tucholscy naganiacze. Wszyscy, idąc, oglądali się dokoła i pilnie nadśluchiwali. W lesie zaczynało się już budzićienne życie. Barwnopióra sójka skrzeczała na wierzchołkach świerków, zielony dzięcioł, przyczepiwszy się do pnia tuż nad głowami przechodzących, dłubał korę swoim żelaznym dziobem. W dalekich gęstwinach leśnych słychać było ryk turów i wycie wilków. Niedźwiedzie o tej porze, najadłszy się, drzemały pod rumowiskami na mszystej pościeli. Stado dzików chrząkało gdzieś w wąwozie, chłodząc się w zimnym mule. Z godzinę może szli myśliwi tę trudną, niewydeptaną drogą. Wszyscy ciężko oddychali, nie mogąc tchu złapać, wszyscy ocierali z twarzy kroplisty pot. Maksym coraz to częściej spozierał za siebie. Zrazu przeciwny był temu, aby i kobieta szła z mężczyznami na tę niebezpieczną wyprawę, lecz Mirosława uparła się. Pierwszy raz była na tak wielkich łowach i miałaaby dla bóg wie jakich trudności nie brać udziału w najpiękniejszej ich części! Żadne Maksymowe wywody o trudnościach drogi, o niebezpieczeństwach na stanowisku, o sile i wściekłości zwierząt, nie mogły jej przekonać. „Tym lepiej, tym lepiej”, mówiła ona z takim śmiałym wyrazem twarzy, z takim słodkim uśmiechem, że Maksym, niby oczarowany, nie mógł już nic więcej powiedzieć. I ojciec, choć z początku również

radził Mirosławie, aby pozostała w obozie, ulec musiał w końcu jej prośbom. Z podziwem patrzył teraz Maksym, jak ta nadzwyczajna dziewczyna na równi z najsilniejszymi mężczyznami pokonywała wszelakie trudności uciążliwej drogi, jak lekko przeskakiwała zgniłe pnie i olbrzymie wyrwy, jak pewnym krokiem przechodziła stromymi wąwozami ponad urwiskami i górami, jak prześlizgiwała się między rumowiskami z taką pewnością, tak nieustraszenie, że Maksymowi zdawało się, że unosi się ona chyba na jakichś cudownych skrzydłach. Patrzył na to wszystko i nie mógł się napatrzeć. — Dziwna dziewczyna! — myślał raz po raz — nigdy jeszcze takiej nie widziałem! W końcu przybyli na miejsce. Niedźwiedzie legowisko stanowił wysoki pagórek, niedostępny z południowej strony, pokryty olbrzymimi bukami i świerkami, zavalony rumowiskami skał i pni drzewnych. Od północy, zachodu, i wschodu zamykały wyjście i wejście wysokie skaliste ściany, niby odrąbane ogromną siekierą od ciała olbrzyma Zełemenia i odsunięte od niego na kilkanaście sążni[10]. Spodem, pod tę ścianą szumiał i pieniał się wąską szczeliną górski potok. Takie położenie ułatwiało pracę naszym myśliwym. Powinni oni byli tylko obsadzić niezbyt szeroki upłaz[11] od południowego boku i postępować tym upłazem coraz to bardziej w górę, a zwierzyna, nie mając innego wyjścia, dostać się musiała w ich ręce i pod ich włócznie.

Znalazłszy się na tym ważnym, choć bardzo niebezpiecznym upłazie, kazał Maksym Berkut towarzystwu rozłożyć się na chwilę i spocząć, aby nabrać sił potrzebnych

do wykonania trudnego zadania. Słońce wschodziło, lecz korony świerków i sąsiednie pagórki zasłaniały jego widok. Po krótkim odpoczynku zaczął Maksym rozstawiać myśliwych w dwa rzędy, tak aby obsadzić cały upłaz. Tam, gdzie upłaz był jeszcze wąski, miał każdy myśliwy stać o pięć kroków jeden od drugiego; dalej jednak, w górze, gdzie upłaz rozszerzał się, tworząc całą niebezpieczną płaszczyznę – tam wypadło myśliwym rozstąpić się szerzej.

Jedno tylko wprawiało go w kłopot – co począć z Miroslawą, która chciała koniecznie stać na oddzielnym stanowisku, a nie przy boku swego ojca.

– A cóż, czym ja gorsza od tych tam twoich naganiaczy – mówiła do Maksyma rumieniąc się jak róża. – Ich, to możesz stawiać na stanowisku, a mnie nie chcesz... Nie, do tego nie dojdzie. Byłby to wstyd i dla ojca również, gdyby nas dwoje stało na jednym stanowisku. Prawda, ojczulku?

Tuhar Wilk nie mógł się sprzeciwić. Maksym począł mówić o niebezpieczeństwie, o sile i okrucieństwie rozżartego zwierzęcia, lecz ona go uciszyła słowami:

– A cóż to, czy nie mam siły? A cóż to, czy nie władam łukiem, włócznią i toporem? Ano! Niechajże któryś z twoich naganiaczy spróbuje się ze mną – zobaczymy, kto mocniejszy.

Maksym umilkł w końcu i musiał uczynić tak jak chciała. Czy mógł sprzeciwić się tej dziwnej, czarującej dziewczynie? Chciał jej przynajmniej wyznaczyć najmniej niebezpieczne stanowisko, lecz na nieszczęście nie można było tego zrobić,

bo wszystkie stanowiska były tutaj równie niebezpieczne. Rozstawiwszy całe towarzystwo, dał Maksym takie rozporządzenie:

– Pomodlimy się teraz, jak kto umie, potem zaś zadmiemy w rogi. Będzie to pierwszy znak, który spłoszy zwierzynę. Potem pójdziemy w górę upłazem i zatrzymamy się dopiero w tym miejscu, gdzie zaczyna się rozszerzać. Tam zostaną moi towarzysze, aby pilnować wyjścia, by ani jedno zwierzę nam nie uszło, wy zaś, bojarowie, pójdziecie dalej, aż do samego matecznika.

W dobrą chwilę potem zabrzmiały lasy i połoniny chrapliwym rykiem żubrowych rogów. Niby olbrzymią falą potoczył się głos po lasach i kniejach, rozbijając się, głucho, to znów potężniejąc. Przebudziły się lasy, zaskrzeczała kania nad wierzchołkami świerków, spłoszony orzeł, wysoko wymachując skrzydłami, podniósł się w powietrze, zachręściła zwierzyna między rumowiskami, szukając bezpiecznej kryjówki. Naraz ucichł ryk rogów i myśliwi zaczęli iść upłazem do góry. Serca wszystkich zabiły żywiej w oczekiwaniu niewiadomych niebezpieczeństw, boju i zwycięstwa. Ostrożnie przedzierał się szeregami: na przedzie szereg bojarski, za nim służba. Maksym szedł na czele, pilnie nadśluchując i śledząc zwierzynę. Król zapadlisk, niedźwiedź, nie pokazywał się jeszcze.

Doszli wreszcie do samej najwęższej gardzieli, poza którą upłaz rozszerzał się, tworząc wielką, pełną kryjówek, płaszczyznę. Myśliwi zatrzymali się tutaj znowu na rozkaz

Koniec Wersji Demonstracyjnej